

## **MOJA ULICA - DOLNA PANNY MARII**

Ulica Dolna Panny Marii nazywana niesłusznie ulicą Podgrodzie wróciła nareszcie do poprzedniego imienia. Mam do tej ulicy wyjątkowy sentyment. Często tu zaglądam, przywołując z pamięci dawne czasy, gdzie spędziłam lata mojego szczęśliwego dzieciństwa. Na ulicę Dolną Panny Marii przeprowadziłam się wraz z rodzicami z dzielnicy Kalinowszczyzna w 1934 roku, kiedy miałam cztery lata. Była to ulica szczególna. Oddalona od centrum Lublina zaledwie parę minut drogi, żyła własnym życiem i stanowiła specyficzną enklawę, ograniczoną od północy wysoką skarpą, na której wznosi się śródmieście, zaś od południa rozległymi obszarami łąk nadbystrzyckich. Dla czteroletniego dziecka był to raj. Z jednej strony lessowa ściana, pokryta gęstymi krzakami, wśród których można się było chować, bawiąc w „złodziei i policjantów”, a za domami łąki, wspaniałe tereny do hasania. A do tego „Bernardyńska góra”, jak nazywaliśmy stromy zjazd obok kościoła św. Pawła, w dół ulicą Dolnej Panny Marii. Tu odbywały się zimowe szaleństwa. Zimy przed wojną były bowiem o wiele sroższe i bardziej śnieżne niż w ostatnich latach. Z góry „Bernardyńskiej” zjeżdżało się na czym kto mógł. Biedniejsze dzieci na podeszwach butów, czy spreparowanych przez siebie saneczkach /była to deska z przybitymi od spodu płozami z drewna, czasem obitymi bednarką/, dzieci bogatszych rodziców na sankach lub łyżwach. Wracałam z takiej sanny po wielu godzinach, przemarznięta jak sople lodu i zaraz po odtajaniu i przebraniu mnie w suche odzienie, goniłam z powrotem na zimową zjeżdżalnię.

Od wczesnej wiosny biegaliśmy po łąkach. Nadbystrzyckie łąki były wilgotne, przecięte dwoma ciekami wodnymi. W nich obserwowałam żabi skrzek, który zamieniał się w ruchliwe kijanki, a potem żaby, dające wieczorami o sobie znać donośnym rechotem. W kwietniu zbocza rowów pełnych wody, pokrywały się żółciutkimi kaczeńcami, latem łąka porastała bujną trawą, przetykaną różnorodnymi kwiatkami, z których wyplatałyśmy wianuszki na głowę. Wędrując po łące omijaliśmy ostrożnie sporą połąkę terenu, gdzie wyrastała wysoka trzcina. Było to bagnisko w którym można się utopić, jak przestrzegali nas rodzice. Teraz łąki są zupełnie suche porośnięte chaszczami. Wtedy, jak na wsi, pasły się krowy i gęsi. Wielokrotnie, grając w dwa ognie, czy uganiając się za piłką, padaliśmy, ślizgając się na krowich „plackach”.

Prawie co roku w lecie przyjeżdżali Cyganie i ustawiali na zielonej łące swoje kolorowe wozy, a Cyganki chodziły po domach, proponując wróżenie.

Wspominałam o biedniejszych i bogatszych mieszkańcach tej ulicy. Tak, ulica Dolnej Panny Marii była ulicą biedną. Prawa strona nieparzysta zabudowana była parterowymi domkami, właściwie ubogimi chałupkami, przylepionymi do skarpy, nad którą wznosił się klasztor, kościół pobrygidkowski /wizytek/

i ogród, oddzielony wysokim murem. Po lewej ? stronie stały też domki parterowe, przeważały jednak kamieniczki murowane, głównie dwupiętrowe, czynszowe, zamieszkałe od sutereny po poddasze, zależnie od zamożności lokatorów. Ja mieszkałam w kamienicy pod numerem osiemnastym. Mieszkańcy zmieniali się co pewien czas.

Zapamiętałam jednak szczególnie kilka rodzin. Na pierwszym piętrze rodzina urzędnicza - państwo Kiecolowie . Z ich synem Wieśkiem chodziłam do szkoły, a z córką Hanną bawiłyśmy się na podwórku. Później zamieszkali tu państwo Żurkowsy z córkami. Drugie piętro zajmowała pani Zagórska, nauczycielka. Na poddaszu mieszkali państwo Korobczukowie z dwoma córkami i synem Gienkiem. W suterenie poza dozorcą domu panem Sikorskim i jego rodziną, mieszkała też bardzo biedna Żydówka z dorastającą córką Chajką, która z powodu zawodu miłosnego skoczyła z drugiego piętra naszej kamienicy, łamiąc sobie nogę. Ogromnie nas to zbulwersowało i zmartwiło. Współczuliśmy biednej dziewczynie.

Ojciec mój natychmiast po wprowadzeniu się, zainstalował wodociąg i kanalizację. Większość mieszkańców ulicy pobierała wodę ze studni z pompą, znajdującymi się na podwórkach. Przed zimą dozorca opatulał żelazne studnie słomą, kocami, szmatami. Przy ostrych zimach to zabezpieczenie nie wystarczało. Trzeba było wtedy wlewać do studni cały garnek wrzącej wody, aby rozmrozić studzienny tłok. Ubikacje też znajdowały się na podwórkach. Były to drewniane, rzadziej murowane budki z wyciętymi w drzwiach serduszkami. Korzystanie z nich w czasie ostrych zim nie było miłe.

Każde podwórze mieszkańcy obudowali mnóstwem komórek i przybudówek, w których trzymało się opał na zimę i różne takie niepotrzebne, czy też bardzo potrzebne rzeczy. Te zakamarki stanowiły idealny teren zabaw w chowanego. Po środku naszego podwórka stał trzepak, na którym dzieci wyczyniały różne harce. Ja się tego okropnie bałam, w przeciwieństwie do mojej siostry stryjecznej Basi, która wyróżniała się szczególnie w tych wyczynach. Basia imponowała mi zawsze odwagą. Przez wiele lat była najbliższą towarzyszką zabaw. Mieszkała wraz ze stryjenką moją i stryjkiem w sąsiedniej kamienicy pod numerem szesnastym. Tata, znając mój lęk zastąpił trzepak huśtawką. Była to duża huśtawka i służyła nie tylko mnie, ale wszystkim moim koleżankom i kolegom. A miałam ich mnóstwo. Były to i biedne dzieci, które całe lato biegały na bosaka i takie, które w pięknych butach, zawsze ładnie ubrane paradowały ze swoimi zabawkami, pięknymi lalkami/modne wtedy były jak teraz Barbie - wzorowane na popularnej wówczas aktorce - dziecku Shirley Temple/ w wózekkach, czy jeździły na hulajnogach, grały prawdziwymi skórzanymi piłkami do siatkówki.

Należałam do tych bogatszych, ale to nie znaczy, że byłam zadowolona, mając do dyspozycji tyle pięknych rzeczy do zabawy. Bardzo chętnie dawałam chłopcom piłkę, która była ich marzeniem, gdyż grali tzw. „szmaciankami”, wykonanymi własnoręcznie, a sama w zamian pożyczalam od nich fajerkę, którą popychało się wygiętym specjalnie drutem. Ależ to była zabawa! Całymi godzinami grałam z koleżankami w klasy, zwłaszcza od chwili, kiedy wybrukowano trotuar dużymi kwadratowymi płytami. Ulubionym zajęciem była gra w piłkę „w dziesiątki”. Odbijało się piłkę o ściany domów, korytarzy, licząc ilość trafnych uderzeń w różny sposób: płaską dłonią, zwiniętą w pięści itp. Brudziliśmy ściany niemilosiernie , zwłaszcza po ulewnych deszczach. Graliśmy też piłką w „rebus, rebus, piłka w dołku”, gry już zupełnie przez dzieci

zapomnianej.

Koledzy grali w „mondzie”, czyli w monety, którymi rzucano w ścianę tak, aby odbita trafiła w inną leżącą na ziemi. Wielu chłopców hodowało gołębie. Obserwowałam, jak zza „pazuchy” czyli spod koszuli wyciągali swoich ulubieńców i wypuszczali w niebo. Śledzili ich lot i bezbłędnie rozróżniając swojego gołębia wypatrywali, który wzleci najwyżej i najpiękniej porusza się w powietrzu. Chłopcy ci wywodzili się w większości z biednych wielodzietnych rodzin.

Pamiętam, jak przyglądałyśmy się bitwom na grudy ziemi, rzadziej kamieni między chłopcami z naszej, a chłopcami do których nasi czuli antypatię tzn. Tych z ulicy Rusałka i ulicy Wesołej. Bitwy takie odbywały się na łąkach. Przedzieleni rowem z wodą nie mogli uczynić sobie krzywdy, ale walczyli ambitnie. Już po wojnie dowiedziałam się, że jeden z tych chłopców, Janusz Łączkowski oddał w czasie okupacji swoją kennkartę bratankowi mojego wujka) sam narażając się na niebezpieczeństwo ze strony Niemców. Tacy to byli chłopcy z Dolnej Panny Marii. Potrafili się poświęcać dla innych. Bratanek był członkiem Armii Krajowej. Dzięki tej kennkarcie uratował się przed aresztowaniem nie tylko przez Niemców, ale później przez Rosjan, którzy poszukiwali go jako żołnierza AK. (Po wojnie bratanek ukończył studia w Poznaniu i dopiero po 1956 roku wrócił do swojego prawdziwego nazwiska - Tadeusz Borowic). W latach sześćdziesiątych Tadzik poszukiwał Janusza Łączkowskiego, aby za ten gest podziękować. Tyle mu przecież zawdzięczał. Niestety, okazało się, że Janusz zmarł parę lat wcześniej na gruźlicę. Nabawił się jej, pracując przez wiele lat w kopalni. Władze PRL uznały go bowiem za niepewnego politycznie /fakt, że zawsze był z niego wielki oryginał i nie dał się nikomu podporządkować.../ i jak wielu wtedy wysłały do ciężkiej pracy dla celów „reedukacyjnych”.

Mieszkańcy mojej ulicy mogli kupować najpotrzebniejsze artykuły w małych sklepikach, których było w naszej dzielnicy kilka. Pamiętam szczególnie pobliski sklepik pani Smogorowiczowej, gdzie kupowałam cukierki „rybki” po jednym groszu za dwie, a także pierniki „brukowce” po pięć groszy za sztukę. Istniały tu dwie piekarnie. Jedna pana Chansego przy ulicy Dolnej Panny Marii pod numerem 13, a druga znajdowała się na rogu naszej ulicy i Górnej i należała do pana Kowalczyka. Codziennie z jego piekarni świeżutki pachnący chleb pytlowy z nasionami kopru /nie kminku, a kopru!/ oraz czarny razowiec rozwoził pan Benedzio. Bardzo popularna i lubiana postać. Biednie odziany, ale pełen godności. Na wszystkie, czasem złośliwe dziecięce zaczepki odpowiadał rymowanekami, bardzo trafnymi i nigdy dokuczliwymi. Pamiętam początek jednej z nich: „róg stołu do rosołu...” dalszy ciąg zależnie od okoliczności był inny.

Przy sąsiedniej ulicy Górnej był też maleńki sklep dobrze zaopatrzony. Należał do Sruła Borucha Goldberga - Żyda, u którego wielu biedniejszych mieszkańców „borgowało” czyli kupowało na kredyt różne wiktuały. Pan Goldberg wpisywał do zeszytiku zakupione towary oraz ich cenę, a kupujący regulowali długi w umówionym terminie. Za sklepem pana Goldberga sąsadował sklep z opałem państwa Niedźwieckich. Tam w czasie okupacji zaopatrywano się w naftę do lamp, gdy zabrakło prądu.

Naszą ulicę zamieszkiwało sporo rzemieślników. Pamiętam dwóch szewców: pana Malinowskiego i pana Starobrata. Codziennie przez szeroką bramę pod numerem 12 wyprowadzał swoją dorożkę pan Siwec, z którego synem Bolkiem chodziłam do jednej klasy. Wszyscy tu doskonale się znali, przeżywali nie

tylko swoje, ale i sąsiedzkie kłopoty i radości.

Ulica była pełna ruchu, gwaru. Zaglądali tu biedni Żydzi, handlujący starzyzną. Z dużymi workami na plecach pokrzykiwali: „handele, handele, starzyzną handluję, handele ...” Kupowali i sprzedawali za grosze różne stare przedmioty, używaną odzież, garnki. Od czasu do czasu przychodził na Dolną Panny Marii człowiek z „maszynią” do ostrzenia noży, nożyczek i siekierok i młotkiem stukał w kawałek żelaza, umieszczonego na podstawce. Na ten dźwięk, tak donośny i charakterystyczny wybiegały z domu gospodynie z pękami noży i nożyczek. Za parę chwil i kilka groszy, narzędzia były naostrzone.

Pojawiali się też dosyć systematycznie domokrażcy, którzy dostarczali towary spożywcze bezpośrednio do domów. Najczęściej byli to Żydzi. Przynosili w walizce różne zamorskie specjały: kawę, herbatę, figi, migdały, rodzyunki czy kakao. Trochę na siłę wtykali mieszkańcom różne artykuły, nie żądając od razu zapłaty. Przychodzili potem po należność wielokrotnie, gdyż nie zawsze długi regulowane były w umówionym przez kupujących terminie. W okresie świąt, zwłaszcza Bożego Narodzenia, ożywiała się cała ulica. Sklepiki zapełniały się tłoczonymi w „glans papierze” główkami aniołków, św. Mikołajów i gwiazdkami, a także szychem i kolorowymi bibułkami, z których wieczorami wyczarowywało się różne cudeńka na choinkę, kleiło długie kolorowe łańcuchy, Ulicą na dwa dni przed świętami kursowały gospodynie z blachami wyrośniętego drożdżowego ciasta, które wypiekali w swoich piekarniach panowie Kowalczyk i Chanse.

Moja mama wraz z sąsiadkami korzystały w tym celu z pieca chlebowego, który mieścił się w suterenie parterowego domu pod numerem szesnastym. Patrzyłam zauroczona, jak w czeluściach głębokiego, rozgrzanego pieca, gdzie żarzyły się węgle ze spalonych polan, chowają się potężne, wysokie baby z drożdżowego ciasta, tudzież strucle z makiem i powidłami. Smak tych upieczonych specjałów mam ciągle w pamięci.

W dzień wigilijny składał nam co roku wizytę jeden z hurtowników-dostawców, który miał sklep z farbami przy ulicy Koziej-Żyd pan Cygielman. Ponieważ ojciec mój prowadził firmę i był jego stałym klientem, rewanżował się podarunkiem w postaci faszzerowanego szczupaka, przyrządzonego „po żydowsku” oraz butelką świetnego likieru z firmy Baczewskiego. Po wigilii moja babcia, by odnaleźć symbole Męki Pańskiej, rozbierała głowę szczupaka, wyszukując kostki, mające kształt krzyża, włóczni i trzech gwoździ. Jak opowiadała babcia szczupak wychylił głowę z wody, ujrzał na Golgocie mękę Chrystusa i w jego głowie utrwaliły się te właśnie symbole. Pamiętam też do dziś większość zwrotek śpiewanej przez babcię pastorałki o ucieczce do Egiptu przed Herodem Matki Bożej wraz z Dzieciątkiem i św. Józefem .

*Król Herod się zafrasował*

*Dziatek wszystkie wyciąć kazał*

*Maryja się dowiedziała*

*Ze swym syneczkiem uciekała*

*I spotkała chłopka w polu orzący*

*Swoją pszeniczkę z ręki siejący*

*Sięże chłopku w imię moje*

*Jutro będziesz zbierał swoje  
Nie powiadaj chłopku  
Żem ja tędy szła  
Żem małe dzieciątko  
Na ręku niosła  
Żydowie się dowiedzieli  
Za Maryją pobieżeli  
I napadli w polu chłopka już rżnący  
Swoją pszeniczkę w snopy wiążący  
Powiedz nam chłopku miły  
Czyś nie widział tu Maryi  
Widziałem ja, ale oni  
Już Maryję nie dogonią  
Jeszcze się ta pszeniczka siała  
Kiedy Maryja tędy biegała.*

W ciągu całego roku przychodziła rano do naszego domu biedna handlarka Żydówka z ogromnym koszem „bajglów” czyli obwarzanków i cebularzy. Smak obecnych cebularzy nie wiele ma wspólnego z tamtymi, które były chrupiące z wianuszkami grubszego ciasta dokoła dużego, bardzo cienkiego placka. W lecie chodził po ulicy lodziarz. Za całe 5 lub 10 groszy dawał małe lub duże porcje lodów. Ja wołałam lody domowe, które przez całe lato, prawie w każdą niedzielę przygotowywali moi rodzice, albo mieszkający po sąsiedzku stryjek. Lody kręczone były ręcznie w wiaderku, w którym pokruszony lód posypywano grubą solą kuchenną, aby szybciej oziębiał, śmietankową, pyszną masę, umieszczoną w specjalnym metalowym naczyniu. Lód przywoziło się w worku ze specjalnych hałd, budowanych w zimie ze zmarzniętej wody Bystrzycy, posypywanych obfitą warstwą trocin. Taka „lodowa góra” trwała do następnej zimy.

Ulica moja miała też „swoją” kościół i to nie było jakie. Jak się wiele lat później dowiedziałam, kiedy zostałam przewodnikiem po Lublinie, kościół jest jedną z pereł architektury renesansu lubelskiego-źródło czy wzór według którego budowano wiele kościołów na terenie Lubelszczyzny i nie tylko. Do kościoła tego chodziłam w niedzielę i święta najpierw z babcią, potem z koleżankami. Piękny wystrój architektoniczny wnętrza, bogate rzeźbienia na sklepieniu, złoto-białe ołtarze w głównym, w którym w czasie uroczystych mszy odsłaniany obraz św. Antoniego w złocistej, lśniącej szacie robił na mnie ogromne, niezapomniane wrażenie. Żadne inne kościoły nie budziły we mnie tak wspaniałych uczuć, takich przeżyć wewnętrznych, jak ten właśnie „nasz”. Dlatego też namówiłam kilkanaście lat później moją jedyną córkę Ewę, aby w tym właśnie kościele św. Pawła brała ślub.

W okresie wiosennym i jesiennym w niedzielę szliśmy „do miasta” jak mawiali moi rodzice, kiedy z Dolnej Panny Marii wybieraliśmy się na spacer do Ogrodu Miejskiego. Po spacerze, aby odciążyć moją

mamę od gotowania w dzień świąteczny, ojciec zapraszał nas na obiad do tej samej zawsze restauracji „Wiarus”, która należała do jednego z przyjaciół ojca legionisty pana Woźnicy, a mieściła się przy ulicy Kościuszki 6, potem na deser chodziliśmy do cukierni „Semadeniego” /na rogu Staszica i Krakowskiego Przedmieścia/. Ciastka, które piekł pan Semadeni były najlepsze w Lublinie, szczególnie, „mikado” i „aidki”.

W bardzo upalne letnie niedziele ulica Dolna Panny Marii pustoszała. Większość mieszkańców udawała się na majówkę do Starego Lasu lub do Zemborzyc. Kapaliśmy się wówczas w czasie tych majówek w czystej wówczas wodzie Bystrzycy, w pobliżu młyna.

Ojciec mój Stefan Starzyński miał duży zakład malarski. Zatrudniał ponad 30 pracowników. Między innymi przyjmował do terminu wielu z tych chłopców z Dolnej Panny Marii. Pamiętam między innymi Stasia Marka i Józka Sikorskiego. Przygotowywał ich do egzaminu czeladniczego, potem mistrzowskiego, aby zdobyli dobry zawód. Najwięcej zleceń na roboty remontowo-malarskie ojciec miał w lecie, nie było więc mowy o wyjeździe gdziekolwiek na wakacje. Nigdy nie odczuwałam z tego powodu, ani żalu, ani pretensji. Ulica z przyległościami spełniała wszystkie warunki jakie może dać wyjazd na wieś.

Jako siedemnastoletni chłopiec ojciec mój wstąpił do Legionów, stąd kult Józefa Piłsudskiego był w naszym domu ogromny. Na postumencie stało popiersie Dziadka /tylko takiego określenia używał ojciec/ a na ścianie wisiał dyplom z podpisem marszałka, potwierdzający otrzymanie przez mojego ojca Krzyża Niepodległości z numerem: N.6770-14/15136.

W opowiadaniach legionowych często przewijały się wspomnienia ojca o bitwach, w których brał udział. Utkwiła mi szczególnie nazwa bitwy pod Kostiuchnowką. Pamiętam też z jakim żalem i smutkiem przyjęli rodzice śmierć Marszałka.

Niedługo potem nastąpiło moje pierwsze rozstanie z mamą i tatą, kiedy to oboje pojechali do Krakowa, aby sypać kopiec Dziadka. Do tej pory przechowuję zdjęcie mamy, pchającej taczkę z ziemią na kopiec Józefa Piłsudskiego, zaś w szkatułce z pamiątkami rodzinnymi poświadczenie służby, że ojciec był legionistą 4 kompanii, VI batalionu I brygady legionów.

W 1937 roku rozpoczęłam naukę w Szkole Powszechnej numer 8. Mieściła się ona w sąsiedztwie, przy ulicy Dolnej Panny Marii numer 8. Pamiętam znakomitego kierownika szkoły pana Tomasza Czyża. Utkwiły mi w pamięci twarze kilku nauczycieli, których ceniłam szczególnie. Ogromnie miło wspominałam pana Krzyżanowskiego. W klasie drugiej prowadził on lekcje rachunków.

Dużo później, w piątej klasie przybyli nowi, wspaniali nauczyciele, cieszący się powszechnym uznaniem. Byli to: pan Jan Matysik, pani Gajewska, pani Florkiewiczowa. Informację o tym, że mąż tej ostatniej zginął w Katyniu, przekazywaliśmy sobie potajemnie. Szkołę wtedy naprawdę się lubiło, myślę, że dzięki właśnie tym nauczycielom. Zaś serdeczne więzy koleżeńskie czy przyjacielskie pozostały do dziś. Ilekroć spotkam dawne szkolne koleżanki z Dolnej Panny Marii: Irenkę Piekarczykówną /Zaczek po mężu, wieloletnią kierowniczkę kawiarni Czarcia Łapa/, Krysią Starobratówną, Krysią Drabikówną czy Hanką Iwanaszówną, mamy wiele wspólnych wspomnień z naszej ulicy.

Upływało więc moje dzieciństwo radośnie i szczęśliwie w tej ni to wsi, ni to mieście. Toteż nie zupełnie serio traktowaliśmy w 1939 roku przygotowania do wojny. Mama suszyła wedle wskazówek ojca doświadczonego w czasie I wojny światowej, suchary z razowego chleba, potem szyla na nowo zakupionej maszynie do szycia maski ochronne z flaneli, które rzekomo miały chronić ludzi na wypadek użycia przez Niemców gazów. Okna oklejano na krzyż paskami z papieru, aby w czasie bombardowania uchronić szyby przed wypadnięciem. A już kopanie rowów na podwórku, przykrywanie ich deskami i darnią, uważaliśmy za świetną zabawę.

I nagle 2 września zabawę przerwało buczenie wysoko w górze lecących samolotów i huk bomb, spadających także na nasze łąki. Do tej pory odgłos samolotów śmigłowych budzi we mnie krótkotrwały, ale nagły strach. Tak jak nie mogę również opanować lęku, gdy nagle usłyszę głośnie mowę niemiecką. To uczucie szybko mija, ale jest tak głęboko zakodowane, że nie mogę się go pozbyć.

Ojciec na apel radiowy władz polskich opuścił dom i pojechał na wschód Polski, gdzie miała się odbyć koncentracja wojsk wszystkich mężczyzn zdolnych do obrony kraju. Niestety „nóż w plecy”, jak określono już wówczas napad Związku Radzieckiego na Polskę, uniemożliwił mobilizację.

Ojcu udało się uniknąć wywózki. Wrócił pieszo spod Kowla do Lublina. Tak wkroczyliśmy w czas okupacji niemieckiej. Szkoły zamknięto.

Uczyłam się w domu. Przerobiłam materiał klasy trzeciej i po roku zdawałam do klasy czwartej. Niestety Niemcy okroili program nauczania, między innymi geografii, a historię i literaturę polską wykreślili w ogóle. Uczyliśmy się więc potajemnie w domu. Część dzieci chodziła na tzw. komplety czyli zbiorowe lekcje w prywatnych domach, a część uczyła się indywidualnie. Do mnie przychodziła nauczycielka, której niestety nazwiska nie pamiętam /chyba pani Sadowska/. To czego się nauczyłam, przekazywałam moim serdecznym koleżankom /między innymi Hani Iwanaszównej/, których nie stać było na prywatne lekcje. Utrwalałam także w ten sposób swoje wiadomości z geografii i historii. Pamiętam też naszą nauczycielkę panią Gajewską, która wybrane, pewne jeśli chodzi o zachowanie tajemnicy uczennice, zapraszała do swego domu, aby prowadzić z nimi lekcje z literatury polskiej.

Niemcy nie zaglądali często na ulicę Dolnej Panny Marii, ale ich obecność ciągle nam zagrażała. Pamiętam jaki szok wywołała eksmisja lokatorów z kamienicy przy ulicy Górnej. Mieszkańcy musieli w ciągu bardzo krótkiego czasu zabrać trochę rzeczy, pozostawiając cały swój dobytek zajmującym ich lokum volksdojczom. Niemcy zarządzili też eksmisję Żydów z naszej ulicy. Żydzi przenieśli się do getta, znajdującego się w pobliżu Zamku Lubelskiego. Chcąc pomóc zaprzyjaźnionemu Żydowi panu Gdali Szpiro /był współwłaścicielem wraz z moim strykiem sklepu z motocyklami, który znajdował się przy Bramie Krakowskiej z prawej strony/, ojciec mój zatrudnił go fikcyjnie, aby ten mógł wychodzić z getta do rzekomej pracy.

Kiedy Niemcy rozpoczęli likwidację getta, stryjenka moja, mieszkająca w kamienicy pod numerem 16, zaproponowała panu Szpiro, aby ukrył się w jej mieszkaniu. Odmówił, nie chcąc narażać rodziny stryjenki na represje ze strony Niemców. Zdecydował się pozostać ze swoją rodziną w getcie. Potem podobno

wyjechał do Warszawy. Co się z nim stało nie wiemy.

W naszym mieszkaniu ukrywał się przez wiele miesięcy oficer Wojska Polskiego pan Waław Klimek, po wojnie długoletni członek chóru „Echo”. Później pan Waław ukrywał się u mojej stryjenki. We wspomnianej przeze mnie kamienicy pod numerem 16 mieszkał w czasie okupacji Stanisław Zalewski nazywany Stasiem przez chłopców z Dolnej Panny Marii. Był on przed wojną bokserem Wojskowego Klubu Sportowego. Chłopcy, którzy go odwiedzali opowiadali z zachwytem o jego trofeach, pucharach, dyplomach, medalach. Imponował im bardzo. Jak się później po latach dowiedziałam od nieżyjącego już red. Jerzego Kozickiego Stanisław Zalewski był w czasie okupacji masażystą w niemieckim szpitalu wojskowym. Przy okazji kradł Niemcom broń i przechowywał na strychu szpitalnym. Kiedy dwóch Niemców, coś podejrzewając, chciało go zatrzymać znokautował ich i uciekł. Po wojnie pan Zalewski był masażystą polskiej kadry olimpijskiej.

Na parterze tej kamienicy mieszkał też wraz z rodziną /żoną, córką i synem moim rówieśnikiem/ pan Zygmunt Tołwiński, przedwojenny nauczyciel przedmiotów humanistycznych, który jak większość nauczycieli został po wkroczeniu Niemców aresztowany i przesiedział na Zamku pół roku. Rodzinę usunięto z mieszkania przy ulicy Wieniawskiej, gdzie stworzono dzielnicę „nur fur Deutsche”. Po wojnie profesor Tołwiński był dyrektorem Liceum Dla Dorosłych.

Każdy dzień okupacji był niepewny. Nigdy nie było wiadomo kto, kiedy i za co, czy bez powodu będzie aresztowany przez Niemców. Każde mocne stukanie do drzwi kojarzyło się z Gestapo. Mroziły nas wieści o aresztowaniu bliskich i dalszych znajomych. Aresztowano mojego stryjka Henryka Starzyńskiego, u którego w warsztacie introligatorskim przy ulicy Zielonej 5 znaleziono „bibułę”. Nie wrócił już. Zginął w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen. W więzieniu na Zamku znalazł się też pan Bolesław Zadurski-artysta malarz, przyjaciel mojego ojca z czasów legionowych, który zmarł później w Oświęcimiu. Zginął też jego syn Zbigniew, pozostawiając swoją niedawno poślubioną żonę.

Mimo terroru i strachu życie toczyło się dalej. Wieści ze świata przynosili znajomi. Między innymi przyjaciel ojca pan Tadeusz Popłownik, mistrz malarski, któremu udało się przechować radio. Nasz aparat radiowy firmy „Philips” ojciec zakopał w ogródku przy naszej kamienicy i dopiero po wojnie okazało się, że uległ niestety zupełnemu zniszczeniu. Pan Tadeusz słuchał audycji z Londynu, przynosił też ulotki z wiadomościami. Pamiętam jakie przygnębiające wrażenie zrobiła na moich rodzicach informacja o śmierci generała Władysława Sikorskiego. Po raz pierwszy widziałam wtedy moją mamę płaczącą.

Kwitł też mimo ogromnych trudności handel. Przywożono ze wsi rąbankę czyli wieprzowe mięso, które dzielono na mniejsze polćie. Od czasów okupacji moja mama zaczęła marynować szynkę na święta. Potem się ją wędziło na podwórzu w beczce. Tradycja ta utrzymuje się w naszym domu do dziś. Tylko szynka „własnej roboty” nam smakuje. Pod koniec wojny, kiedy Niemcom brakowało żywności, żołnierze Wehrmachtu za 1 kg słoniny dawali 1 kg. kawy ziarnistej, bez której nie mógł się obyć mój ojciec „niskociśnieniowiec”.

Po mleko w czasie okupacji chodziła wczesnym rankiem moja mama wraz ze stryjenką aż na Rury

Jezuickie. Mama opowiadała mi jak pewnego razu spotkał je żandarm niemiecki i po zajrzeniu do bańki wylał całą jej zawartość na ziemię, mimo prób i wyjaśnień, że to mleko dla małych dzieci. Pamiętam też innych Niemców jak na przykład cywila inżyniera Maurera, który starał się pomagać aresztowanym Polakom, dawał też ojcu pracę. Fakt, że Niemcy potrzebowali rzemieślników do różnych robót. Mimo ciężkich lat okupacji rodzice zadbali o moją wszechstronną edukację. Rozpoczęłam naukę gry na fortepianie u pani Sonnewend, uczyłam się też języka niemieckiego. Niestety ta ostatnia dość szybko przerwana, ponieważ nauczyciel mój pan Władysław Bartoszek został aresztowany i wraz ze swoim bratem rozstrzelany jako zakładnik. Do tej pory ze wzruszeniem czytam rozklejane co roku na kościołach zawiadomienia o Mszy św., na których widnieją jako pierwsze ich nazwiska.

W czasie okupacji działały: Rada Główna Opiekuńcza i Polski Czerwony Krzyż. Rodzice moi otrzymali od którejś z nich wykaz nazwisk i adresów jeńców i więźniów polskich, nad którymi należało roztoczyć opiekę, gdyż ich rodziny zaginęły lub nie miały z nimi kontaktu. Mama wybrała jeńca Stalagu o nazwisku Mielczarek /imienia nie pamiętam Stanisław czy Kazimierz i wysyłała do niego przez cały okres okupacji żywnościowe paczki. Pan Mielczarek przez wiele lat - po wojnie wysyłał z okazji wszystkich świąt, a także imienin mojej mamy Rozalii serdeczne życzenia i podziękowania. Mieszkał gdzieś daleko od Lublina, więc nigdy go nie widzieliśmy.

Jedna z nauczycielek, bodajże pani Gajewska, zaproponowała kilku zaufanym uczennicom zbiórkę pieniędzy lub wiktuałów na paczki dla więźniów Zamku Lubelskiego. Przygotowywałyśmy same smażoną z dużą ilością cebuli słoninę, którą pakowałyśmy w blaszane pudełka, piekłyśmy tłuste ciasto. Każda paczka miała wyznaczoną przez Niemców wagę oraz ustaloną zawartość. Nie łatwo było zdobywać pieniądze na naszej biednej ulicy Dolnej Panny Marii, wtedy to znalazłyśmy sposób na uzyskanie środków na ten cel.

Zaczęło się od zabawy. W V klasie pojawiły się nowe koleżanki bliźniaczki Zosia i Alicja /Litka/ Samborskie. Zaprzyjaźniłam się z nimi serdecznie. Całe popołudnia spędzałyśmy razem. Razem też powtarzałyśmy lekcje historii i geografii. Zosia i Litka nauczyły mnie dziergania na drutach. W czasie wojny wyrób swetrów, rękawic, skarpet, szalików stanowił dla wielu źródło utrzymania. Pewnego dnia moje przyjaciółki wyciągnęły z zakamarków szafy piękny, wykonany z drewna, bardzo kunsztownie i precyzyjnie teatrzyk kukielkowy. To cudo wykonał ojciec Zosi i Litki. Teatrzyk miał kurtynę, kulisy, boczne zasłony. Oświetlenie górne oraz dolne czyli rampa było zasilane baterią elektryczną, a włączane przy pomocy maleńkich dźwigienek. Była to miniatura autentycznej sceny teatralnej, tyle, że przeznaczonej dla kukielek, którymi poruszało się, sunąc nimi w szparach podłogi teatrzyku. Główki lalek z wosku, umieszczonych na kijkach ubierałyśmy w rozmaite szyte przez nas stroje. Improwizowałyśmy, śpiewając piosenki, zmyślając teksty.

Niedługo zrodziła się ambicja przygotowania czegoś poważniejszego. Sięgnęłyśmy po znakomitą sztukę dla dzieci Marii Kownackiej pt: „O strasznym smoku, dzielnym szewczyku, prześlicznej królownie i królu Gwoźdżiku”. Uszyłyśmy stroje z pomocą naszych mam. Baba Jaga miała domek na prawdziwej kurzej stopce. Nauczyłyśmy się ról. Ja dobrałam odpowiednie do tekstów piosenek melodie znanych utworów, gdyż nie znałyśmy autentycznej muzyki do tej sztuki. Byłam królowną i szewczykiem. Litka Babą Jagą i

ochmistrzynią. Zosia objęła pozostałe role. Brat przyjaciółek Maciek, późniejszy znany architekt namalował na kurtynie /zasłaniającej całe zaplecze teatrzyku/ postaci z tej bajki. Początkowo grałyśmy na przemian, raz w moim domu i wtedy Zosia i Litka poruszały lalkami, a ja akompaniowałam, jako, że grałam trochę na fortepianie, a kiedy indziej w domu przyjaciółek przy ulicy Dolnej Panny Marii 24 i wtedy Litka akompaniowała na gitarze, a ja z Zosią ożywiałyśmy lalkami bohaterów bajki. Przychodziło coraz więcej dzieci. Potem, kiedy pojawiła się potrzeba zarobienia pieniędzy na paczki dla więźniów, zaczęłyśmy grać w szkołach powszechnych, na terenie miasta. Z pomocą ojca i brata Zosi i Litki powiększono teatrzyk, aby zmieścić w nim większe lalki, które musiały być widoczne przez duże audytorium. Powodzenie miałyśmy ogromne. Maciek upamiętnił swoimi rysunkami na kartkach pocztowych główne postaci naszego przedstawienia.

Zainteresowanie Niemców naszą działalnością zmusiło nas do zaprzestania zabawy w teatrzyk. Litka, obecnie wdowa po senatorze panu Adamie Stanowskim, zajęła się później poważnie teatrami lalkowymi, stając się znaną nie tylko w Polsce wybitną specjalistką w tej dziedzinie. Znany był w Lublinie, prowadzony przez nią teatrzyk lalkowy "Krzyś". Zosia, po mężu Stęszewska, jej siostra została muzykologiem i mieszka w Warszawie.

Nie tylko my zajmowałyśmy się działalnością kulturalną. Chłopcy mieszkańcy Dolnej Panny Marii co roku przygotowywali starannie Herody. Szyli z pomocą matek piękne stroje, uczyli się swoich ról. Teksty z pamięci podał im pan Wilczek, ojciec grającego zawsze króla Heroda Zdzisława Wilczka. Jeden ze strażników Heroda, pięknie odziany w błyszczący mundur z epoletami był szczególnie urodziwy. Durzyło się w nim wiele dziewcząt z naszej ulicy, ja zresztą też. Był to Jurek Frydecki. Rolę Żyda grał świetnie Józek Sikorski syn naszego dozorca. Inna grupa młodszych chłopców, przebranych za pastuszków chodziła z szopką, aby przy okazji uzbierać trochę grosza.

Brak teatru, kina /w czasie okupacji do kina z zasady nie chodziło się/, radia dawał we znaki, dlatego wydarzeniem wielkim stawały się koncerty chóru „Echo”, który w okresie świąt Bożego Narodzenia śpiewał piękne polskie kolędy między innymi w kościele św. Pawła. Przychodziły tłumy ludzi. Słuchaliśmy zachłannie. Usłyszałam wówczas i nauczyłam się melodii i słów kolęd mniej znanych, a równie pięknych. Pamiętam je do dziś.

Z mrocznych wspomnień okupacji pamiętam wiele. Jedno z nich utkwilo mi szczególnie w pamięci. Przy alejach Piłsudskiego, zwanymi też Nową Drogą, Niemcy w odwecie za jakąś akcję zapowiedzieli rozstrzelanie Polaków Zakładników. O oznaczonym dniu i godzinie usłyszeliśmy serię strzałów. Wielu ludzi z Dolnej Panny Marii widziało tę tragiczną scenę. Moja rodzina pozostała w domu. Nie byliśmy w stanie być przy tym. W miejscu egzekucji stoi obecnie krzyż.

Przyszedł rok 1944. I znowu bombardowania poprzedzające zdobywanie Lublina przez Armię Radziecką. Niemcy usadowili się w ogrodzie Urszulanek za murem, wznoszącym się nad skarpią naszej ulicy. Stamtąd strzelali do wszystkich, kto znalazł się w zasięgu strzału. Nasze podwórze też było pod ostrzałem. Mimo gwałtownych z naszej strony ostrzeżeń, jakiś podchmielony człowiek wyszedł z sąsiedniego domu i natychmiast padł rażony kulą. Zaczął wzywać pomocy. Niemcy mając świetną

widoczność mogli ranić każdego, kto wyszedł na pole ostrzału. Dlatego moja mama powstrzymała mężczyzn, którzy chcieli wybiec po rannego. Musiał sam doczołgać się do naszego domu. Tu wraz z moim ojcem, który pełnił przez pewien czas funkcję sanitariusza w Legionach, opatrzyliśmy ranę. Miał zapewne przestrzeloną wątrobę. Krwawił okropnie. W nocy przeniesiono go do innego domu, gdzie zajął się nim lekarz. Niestety ranny zmarł. Było to moje pierwsze zetknięcie się ze strasliwym skutkiem wojny, kiedy jeden człowiek strzela bez przyczyny do drugiego nieznanego sobie i bezbronnego człowieka.

Potem do naszego domu od strony łąk kuśtykały ranne konie. Tym też nie mogliśmy pomóc. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Strzaskane kolana, urwane nogi, a my zupełnie bezradni, bo przecież ani bandażować, ani uśmierzyć bólu, ani dobić, żeby się nie męczyły. A one przyszły szukać ratunku!

Któregoś lipcowego dnia też od strony łąk przyszli Rosjanie. Wypytywali o Niemców, gdzie mogą być ukryci, skąd strzelają. Mama zaprosiła jakiegoś oficera, bo chciał się napić wody. Po czym ten wyciągnął konserwę i mimo, że moja mama podała deseczkę, talerz, nóż i widelec, on po otwarciu metalowej puszki, włożył „swiniaja tuszonkę” bezpośrednio na nasz piękny, fornirowany stół i kroił ją bagnietem, zostawiając głębokie rysy na lśniącym blacie. Zapewniał, że nic nie wolno zabierać Polakom, nawet „spiczki” jak się wyraził. A parę dni później kiedy Rosjanie weszli do Lublina, rabowali przechodniom zegarki, pierścionki, obrączki, wszystko, co miało jakąś wartość. Niebezpiecznie było wychodzić wieczorem na ulicę. Mimo to niektórzy mieszkańcy Dolnej Panny Marii witali żołnierzy radzieckich entuzjastycznie. Były to osoby komunizujące już przed wojną.

Moja mama ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, bo byłam przecież szczęśliwa, że skończył się koszmar okupacji niemieckiej, powiedziała: „no to zaczyna się nowa okupacja !” Było to wtedy, kiedy doszła nas wiadomość, że Rosjanie rozbijają żołnierzy Armii Krajowej.

W 1946 roku wyprowadziłam się na stałe z ulicy Dolnej Panny Marii. Przed wojną była to ulica gwarna, tętniąca życiem, teraz umarła zupełnie. Skazana jest na unicestwienie. Pewnie ożywią ją nowe projekty, kiedy istniejące, nieliczne budynki ulegną śmierci technicznej i powstaną na ich miejsca nowe piękne domy czy wille, ale to już nie będzie nigdy ta ulica, którą zapamiętałam, ulica szczęśliwego dzieciństwa...